

## Klejnoty, złoto, kokaina

## Tajemnice podziemi bankowych

## Ludzie i ich skarby

mówię. że chcę wynająć safe. Sprowadzają mnie w dół po kamiennych schodach do tajemniczych podziemi.

W małym pokoju pełnym elektrycznego światła w wielkim czerwonym biurkiem siedzi drobny wysuszony urzędnik. Jest żółty jak cytryna, nie wiadomo, czy ze starości, czy z tego wiecznego siedzenia pod ziemią.

— Pani chce wynająć safe? Proszę za mną — mówi stłumionym głosem, jakby w obawie, że zmać cisze, w której żyje od tyłu lat.

Zbliżamy się do metalowych drzwi. W dzień nie są zamknięte. Urzędnik wolno odsuwa je tak, aby uczynić przejście. Drzwi są bardzo ciężkie i grube na pół metra. Cała ich powierzchnia jest z gęstymi zamkami, wyszczęrzonymi jak lśniące kły.

## W sali safesów

Wchodzimy do ogromnej niskiej sali. Ściany od podłogi prawie do sufitu zajmują safesy. Leżą gęsto jedno przy drugim jak poukładane na sobie szufladki, małe zupełnie, średnie i największe. W metalowej szafie wiszą kluczyki. Stary urzędnik bierze jeden z nich i podchodzi do niezajętego dotychczas safesu. Chce mi go zademonstrować.

— Każdy z wynajmujących safe ma swój klucz? — pytam.

— Tak. Zaden z kilku tysięcy safesów nie ma takiego zamka, który możnaby otworzyć kluczem od innej skrytki. Ponadto, każdy safe ma dwa zamki. Jeden otwiera swoim kluczem właściciel, drugi otwiera się naszym kontrolnym kluczem banku. Można zatem otworzyć safe tylko przy użyciu obu kluczy — mówi mój przewodnik, każde słowo wymawiając bezdźwięcznie, jakby był nakręconym automatem, powtarzającym po raz tysięczny te same prelekcje. W rogach sali mieszczą się małe kabinki. W nich przy zamkniętych szkleniach właściciele safesów mogą dowoli cieszyć się zawartością swych tajemniczych kas, mogą manipulować niewidzianymi przez nikogo swoją ukrywaną starannie własnością.

## Zazdrośnie strzeżona tajemnica

Ogarnia mnie niezmierna ciekawość, co kryje się w tych niedostępnych schówkach. Próbuje wszcząć rozmowę na ten temat ze starym dozorcą skarbow. Zachowuje niewzruszoną twarz, jakby nie słyszał moich prowokacyjnych pytań. Wreszcie, zapytany wprost, odpowiada nieoczekiwanie podniesionym głosem:

— Zawartość kas nie mnie nie obchodzi. Moim obowiązkiem jest pilnowanie obowiązujących w podziemiach przepisów, nie więcej.

Nie wiem, czemu się tak zirytował. Czy zabolalo go. że posadzić go mogłam o niedyskreję, jego, starego urzędnika podziemi, czy też może był to krótki

wybuch własnej tlamszonej w sobie przez tyle lat ciekawości?

I znowu poszedł naprzód, pokazując mi technikę władania skrytkami; ponury jak Cerber i milczący jak zaklęta królowna.

## Kokaina

Nagle od kamiennych schodów poprzez mały pokój dyżurnego zbliża się zaczął ku nam nowy przybysz.

— Proszę o klucze.

Odcycha obaj, mizerny urzędnik, stróż podziemnych skarbow pulchny, dobrze ubrany żydek, właściciel ukrytych w safie nikomu nie znanych bogactw.

Do mnie podchodzi młody urzędnik, wywołany przez starszego z jakichś dotąd niewidocznych drzwi. Objaśnia mi dalej obowiązujący dotąd regulamin.

— Bank nie wnika w to, jaka jest zawartość paczek, przecho-

wywanych w safesach. Nie wolno tylko przechowywać materiałów wybuchowych, niebezpiecznych, mogących uszkodzić safe.

Żyd tym czasem przeniósł do kabiny, wyjętą z muru kaseię. Patrząc na nas z pode tba zatrzasnął drzwi i zamknął się na dwa spusty. Po chwili rozległ się stuk upadającego przedmiotu i szelest papieru, jakby papierem tym żyd coś starannie wycierał.

Młody urzędnik słuchał pilnie i miał minę rozciekawioną zapewne nie mniej ode mnie. Zarzykował więc znowu pytanie:

— Co się tam kryje, w tych safesach? Co za skarby?

— E, skarby to jeszcze mniejsza, pieniądze, klejnoty, to nie interesującego. Ale przecież tam można ukryć wszystko... Raz — zaczął, zniższy głos — widziałem po wyjściu pewnego żyda

rozsypane w kabinie resztki kokainy, nie zauważył widocznie, że zostały ślady. Niech pan pomyśli, móc przejrzeć, co się tam kryje w tych skrytkach, a co najważniejsze, móc wiedzieć, jaka z tym wiąże się historia.

— To znaczy, co ci ludzie przeżywają, jak dalece ukryte tu rzeczy wpływają na ich życie?

## Ludzie i ich skarby

— Och, ci ludzie! — mówi młody człowiek z blyszczącymi teraz oczyma — Przychodzi tu często pewna dama, która ma tu schowane swoje brylanty. Spędza na oglądaniu ich całe godziny. Pomyśleć tylko, skarb, który jest tylko na to, żeby go oglądać i z którego nie więcej nie ma się w życiu... W innej skrytce są tylko papiery, może jakieś dokumenty, pamiątki może. Przychodzi do nich starszy pan, nie bardzo dobrze ubrany. Bardzo był zadowolony, kiedy je pierwszy raz umieścił w safesie, widziałem, bo nie były zapakowane. Mówił wtedy: „Już mi przynajmniej nikt w tym nie będzie grzebać i czyhać, to tylko moje sprawy“.

Jest też taka dziwna para żydów. On ma safe stale, a ona jest biedna zapewne, bo manicurzystka. Ale co pewien czas on jej wynajmuje safe, duży, o największych rozmiarach, i ona tu w nim coś składa na kilka dni, a po tym wyjmuję i safe oddaje.

— Może coś przemycanego?

— Może, a może tylko żyd ukrywa coś przed komornikiem.

## Na dnie

Starszy urzędnik zajęty jest przy jakimś nowym kliencie. Młody skończył swoją funkcję tłumaczenia regulaminu, więc odchodzi. Korzystam z tego, że stary urzędnik nie patrzy w moją stronę i z małego pokoju wstępuję wąską szparą między ścianami w długi i wąski korytarz, otaczający skarbiec. Ledwo posuwam się na czubkach palców, przerażona tym, że pierwszy mój krok wywołał moche i dalekie echo, obawiam się, aby nie spstrzeżono zbyt wcześnie mojej ciekawości i nie przerwano mi wędrówki.

Na zakrętach korytarza blyszczą w świetle lamp lustra. Wszędzie alarmowe dzwonki, tak, jak przy safesach. Nocą chodzą zapewne tędy uzbrojeni strażnicy. Nagle wyrasta przede mną żelazna, o grubych prętach, brama. Zamknięta. Za nią jakieś drzwi. W dół na lewo biegną wąskie schodki. Schodzę, czepiając się poręczy. Jestem na samym dnie. Kafłami wyłożony sufit i podłoga, białe kafłowe ściany od sufitu biegnące pochyło do podłogi.

Na krzywych ścianach leżą duże lustra. Wszystko jest pochyłe i trudno się poruszać. Filary podpierają strop, dźwigając na sobie ciężki skarbiec, w którym ukryte są cudowne klejnoty, złoto, kokaina...

Kuba.

## Róże bez kolców

## U rybek w terminie

Komitet wystawy akwariów i terrariów w ogrodzie Saskim ogłasza konkurs z nagrodami od zł. 50 za najlepsze zdjęcie fotograficzne względnie plastyczne odwzorowanie fragmentów wystawy rybek, płazów, gadów i t. d.

Zwiedzając za legitymacją dziennikarską pałac rybek natknąłem się na prezesa Rybanowskiego, który jako stały bywalce wystawy oprowadzał mnie, pokazując najciekawsze okazy.

Prezes bywa tu stale nie tyle dla rybek, ile dla grubych ryb, zwiedzających wystawę ze względu na kurtuazję wobec wysokiej protektorki i ustosunkowanego ciała komitetu wystawy.

Zapytany przez prezesa o ogólne wrażenia, orzekłem, że gado i rybostan przedstawia się dość okazale, jednakże uważam, że taka sztuczna pielęgnacja jest dość kosztowna i nie wroży pupilkom dużego żywota, — byłe komplikacja i taka rybka zdycha, jak nie przystępując do różnej organizacji młodzieżowo - koniunkturalne, tworzone na tle... ideowych subwencji. Fundusze wydatkowane na taką sztuczną hodowlę wystarcząłyby na zarzycenie nawet wielkich jezior w warunkach normalnego i swobodnego rozwoju narybku.

Owsem imponuje mi cały szereg okazów, np. makropodów samce, które umyslnie maczą wodę, aby tknąć i młode ukryć przed żartoczną samką. Takie postępowanie wobec zbyt ruchliwych małżonków ocaliłoby honor niejednego „działacza w terenie”. Exemplum Parylewiczowa. Z drugiej strony bezkrytyczne naśladowanie makropodów przy wychowaniu młodych polityków pro-rządowych nie jest wskazane, gdyż w zbyt zmaconej wodzie nie mogą oni odróżnić, gdzie się kończy działalność państwowa - twórcza, a zaczyna kryminał komuno-żydowski.

Zyworodki są specjalnie interesujące, — zabawne jest, że wskutek szybkiego krzyżowania się gatunków z kilku odmian powstają wkrótce liczne orientacje polityczne i koniunkturalne w sanacji, gdzie z czterech brzydych powstała nieskończenie wielka ilość odmian, w których nawet Bapowi trudno się dziś zorientować.

Ciekawe, że na moment urodzenia młodego żyworodka wycekuje cała zgraja osobników dorosłych, które noworodka natychmiast konsumują.

Przypomina to praktyki podatkowe poszczególnych urzędów, które nie czekając aż podatnik okrzepnie — potykają go niemal zaraz po wykupieniu patentu. Poszczególne osobniki ratują swój żywot w ten sposób, że w momencie powicia, jak strzała, znikają na dnie akwarium wśród iltu, piasku i wodorostów. Jest tu duża analogia z ukrywaniem dochodów, względnie wywożeniem kapitału zagranicę przez rybkę semickie względnie pochodzące z obozu legionu zasłużo-

nych. Takich nie odnajdzie żaden komornik!

Wielobarwna żartoczna rybka, woalem zwana, też nastrocza analogie: posiada ona ogon znacznie większy od tułowia. Przy sprzyjających warunkach wyrasta do dużych nawet rozmiarów; przypomina ona głównie czwartą Brygadę, włokącą za sobą ogon krewnych, przyjaciół, klientów i t. d. Specjalnie niebezpieczne dla tej rybki są promienie słoneczne, woli ona półmrok, zdycha najczęściej z przejedzenia.

Oprowadzający mnie dygnitarz jest specjalnym miłośnikiem tego reprezentacyjnego gatunku rybek, które, aczkolwiek dość ociężałe, są jednocześnie okazałe i unikają waleki, skoro mają zapewnione pa-pu....

W dyskusję nie wchodzę, wiedząc, że właśnie sposób ustosunkowania się prezesa do zagadnień społecznych przypomina wegetację woalów: łagodny opozycjonista dawniej, obecnie oswoił się, jako bezpartyjny zwolennik régime'u i jada z ręki.

W pewnym momencie p. prezes z lubością obserwuje walkę groźnych makropodów z młodymi szczupaczkami i zapytuje, czy nie widzę tu analogii z beznadziejnym losem, jaki oczekuje młody narybek narodowy.

Stwierdzamy, że jednak część szczupaków uratuje swój żywot i urosnie, a makropod — makropodem pozostanie i będzie się z czasem krył w myślej dziurze.

Imponujące zaiste są zółwie — okazuje się, że te wielkie okazy konsumują bardzo mało i to wyłącznie jaskrie potrawy. Żywot ich obliczony jest na długi okres i dlatego nie spieszą im konsumować. W tym oświełtenu zrozumiałą się staje dla nas żartocznosc rybek sanacyjnych, skazanych na stosunkowo krótki żywot.

Zastanawia nas również, że duży żółw zadawalna się tak małą skorupą, gdy stosunkowo mały i tymczasowy ojczymek stolicy musi mieć koniecznie kosztowny pałac Blanka!

Opuszczając wystawę, zwracam uwagę na wspaniałą okaz kameleona, obdarzonego wybitnym darem mimikry; obserwujemy go właśnie w chwili, gdy — stosując się do otoczenia — zabarwia się na kolor jasno zielony i zgodnie stwierdzamy, że jest to barwa antysemita dawniej zakazana, a obecnie stosowana nawet przez sanację.

Zaiste świat fauny bywa nieraz pouczający.

KNOT.

Do wysokiego Komitetu Wystawy Rybek

w/m

Ogród Saski

Zatęcając przy niniejszym migawki fotograficzne, uprzejmie proszę o łaskawe przyznanie mi jednej z nagród wg. uznania komitetu.

Z należnym poważaniem

APOLINARY KNOT.

## Z ekranów stołecznych

## Roma: „Kły i pazury”

Słychać często zdanie, że tylko żydzi umieją się reklamować, na skutek czego wiele imprez pożytecznych i ciekawych, ale organizowanych przez „inną stronę”, przechodzi bez wrażenia. W kinie ROMA obserwujemy daleki postęp w tej dziedzinie. Czyny ono znaczne wysiłki, żeby miasto o nim wiedziało, reklama więc jest, tylko, jeszcze nie bardzo wiadomo, jak to robić. Czytamy w ogłoszeniach o mrozących krew w żyłach, niebezpieczeństwach dzielnicy podrobników, i zachęcają nas zapowiedziami, że wszystko odbywa się w języku polskim. Dziwnym trafem są to właśnie dwa najsłabsze punkty programu. Widać, przygotowany na silne emocje, ogląda na ekranie dwóch, przyzwyczajonych, ludzi, którzy zbliżają się z siateczką do strasznego zwierza i łapią go w nią, jak motylka, a jednocześnie jakiś osobnik, dudniący i tragicznym głosem, tłumaczy nam, z jakimi strasliwymi niebezpieczeństwami ta, niewinna na pozór, funkcja jest połączona. „Białe,

jak śnieg, bawół ryczy, jak gdyby wzywał do walki — słyszymy. — I my również odpowiadamy mu wzywając.” Albo, ciągle tragicznym głosem: „W każdej chwili gotowi jesteśmy zamienić dziesięć prosiaków za jednego pytona”. Wszystko to niepotrzebnie psuje nam film, który jest nader ciekawy, i możemy się z niego dowiedzieć, jakich sposobów używają dostawy ogrodów zoologicznych, celem schwytania egzotycznych zwierząt. Zdjęcia są czyste, oglądamy piękne widoki dzungli malajskiej, podróżnik Buck ma przemiły uśmiech i bardzo nam się program podoba, choć po przeczytaniu reklamy możemy mieć słuszną pretensję za wprowadzenie nas w błąd. Na przyszłość prosimy o więcej rzeczowości. Nie tylko krwawe sensacje interesują dziś ludzi.

P. S. Nad program oglądamy jedną z najlepszych humoresek rysunkowych, kolorowych, jaką nam w ostatnich czasach pokazano. sam.

## Głos ze studia i z widowni

## Udany eksperyment radiowy

Niema już wątpliwości, że pomysł urządzenia studia na Wystawie WMEŁ był szczęśliwy i osiągnął swój cel narzędzia propagandy radiofonii. Ale studio z publicznością w gmachu radia, jest czemś innym od podobnego studia na Wystawie. Tam jest publiczność skupiona — ma jeden cel: obserwowania akcji, wysłuchania sztuki. Tymczasem studio na Wystawie jest wprawdzie główną, ale nie jedyną atrakcją pawilonu, który nie może zamykać swych podwoi, ani też wpływać na publiczność, aby podczas akcji studia kierowała swą uwagę tylko w tamtą, jedną stronę.

Publiczność zachowuje się czasem swobodnie, bo niektórzy sądzą, że „To jest taki model studia”, w którym napis czerwony: „Czysta studio czynne!” jest tylko efektem, z którym można się nie liczyć. Czasem ten szum i głośnie rozmowy, a zwłaszcza dzwonki telefoniczne rozpraszają uwagę wykonawców radiowych. Wtedy,

zresztą bardzo delikatnie interwjuje speaker. Najtrudniejszą sytuację mają w tych wypadkach wykonawcy słuchowisk, którzy modulacją głosu muszą zastępować brak efektów scenicznych — dekoracji, charakterystyki i innych akcesoriów scenicznych.

Styszeliśmy miłośników radia, którzy twierdzili, że nadawane ostatnio ze studia komedie Londona i Fredy znacznie lepiej wychodziły z głośnika. Zato pełnym powołaniem cieszyły się lekkie audycje muzyczne i wokalne, dozwolone monologi, felietony i krótkie, wesołe skecze i kuplety. Stałe powodzenie zapewnił sobie również Dziennik Radiowy.

Nowość, jaką jest studio wystawowe, udała się. Studio, a zwłaszcza w dnie pogodne, soboty i niedziele jest przepelnione. Przychodzą tu nie tylko przyszli radiosłuchacze, ale i przysięgli abonenci, których pociąga ciekawość i chęć poznania znanych ze słyszenia wykonawców radiowych.

## M CHAŁ WSZERAD

2)

## PANI PREZES i S-KA

## Powieść obyczajowa

Nikt jej jeszcze bliżej nie znał. Po pierwsze pozycję miała wysoką, że gdzie tam dofrunąć różnym Aniołkównom!... Jeden kuzyn ministrem, drugi ma iść do dyplomacji, ale jeszcze „poprawia akcent” (tak twierdzi sama Gryglewiczowa. Generał Krynicki wprawdzie zupełnie co innego: „Nie wychowany, że aż...”). Po drugie jest tu od niedawna. Jeszcze parę miesięcy temu siedziała w jakimś tam powiatowym Łepetynie, ale wiadomo...

Wszystkie panie pragnęłyby w tej chwili szepać sobie do ucha. Boją się.

Prezesowa Gryglewiczowa kandydaturę przyjmuje. „Kto jest przeciwny?”

— Kto jest „za” a kto „przeciw” — poprawia Polackówna. — Przypominam, że obowiązują zasady demokratyczne i parlamentarne, obowiązują statut i regulamin.

Sędzina Nowicka ponsowieje. Nie zna regulaminu. Sekretarka usłużnie podsuwa arkusz papieru.

— Kto jest więc „za” a kto „przeciw”?

— Przeciw czemu? — zapytuje zdziwiona pułkownikowa Mrówkowa — panie tak gadają, że „kompletnie” nic nie słychać!

„Cóż to za okropna baba z tej pułkownikowej” — prycha ze znaństwem Tworecka.

— Kto jest za kandydaturą pani prezesowej Gryglewiczowej (lekkie ukłon głową), a kto przeciw? — wyjaśniła sędzina. — „Przeciw” ręce w górę.

Oczywiście nikt. Nagle — Polackówna, wiadomo.

— Obywatelki, nie stanowisko, ani sprawy osobiste, czysto osobiste — płaska pierś zapewne falowała. Nic nie było znać — winny decydować, ale ideały, dla których... Cóż z tego, że obywatelka ślaczkowa...

Śmieszna idealistka. Ciągłe „zakłada protesty”. Ciągłe ma swój głos, aż do momentu, gdy go „kwalifikowaną większością” przegłosują. Zawsze wierna młodoci. Głupia. Nauczycielka przyrody. Dwieście trzydzieści złotych pensji miesięcznie.

Wysłuchano cierpliwie. Po czym przegłosowano. Zaczęły się powinszowania.

Niemy, zapraszający ruch ręki przewodniczącej. Gryglewiczowa ujęła suknię w ręce (jak w Łepetynowie...). Dostojnie siadła na krześle.

Przystąpiono do dalszych punktów porządku dziennego. Sprawa kiosku. Aniołkówna spojrzała na Tworecką Tworecka na Aniołkównę. Zapomniano przygotować projektu umowy dzierżawnej. Odłożono.

Sprawa uroczystej akademii ku czci szesnastolecia podjęcia inicjatywy budowy domu dla żon i córek po zmarłych bojownikach.

— Jakiego domu? — Mrówkowa pyta już trzeciej sąsiadki. Nikt nie wie. Cicha, cichutka sędzina Czechowska rosi, by któraś zabrała głos z prośbą o wyjaśnienie. Jest ciekawa. Wszystkie są ciekawe.

Obywatelka Polackówna wyjaśnia więc. Miał powstać, ale nie powstał. No!

Sprawa projektu znaczka pamiątkowego, z powodu dwudziestego rocznicy...

— O ile się nie mylę mia dopiero dziewiętnaście lat... — obywatelka Polackówna sprawdza.

Miałam wtedy dopiero cztery lata — mówi z najgłębszym przekonaniem kapitanowa Kaczyńska, nazywająca siebie pieszczotliwie „Kaczuśka”.

— Tak. Dziewiętnaście. Projektujemy odłożyć do przyszłego roku. Kto „za”, kto... — Odłożono.

Sprawa założenia rodziny funkcjonariuszy poczty peronowej.

— Ja tam mało jeżdżę, — mruczy Tworecka. Obywatelka Polackówna kluje jak w rozkrocie. Co za egoizm! Obywatelka Polackówna jest altruistką.

— Proponuję do komisji — rzuca naczelnikowa Krawczykowa. Biedna, nie ma żadnych nadziei osiągnięcia wyższej kategorii funkcji, jak tylko członkini komisji, stąd zawsze jednakowe wnioski.

Sprawa dożywiania dzieci bezrobotnych na przedmieściu Biedoty.

— Dzieci cierpią formalny głód! — referuje doktorowa Kubiakowa. Akcentuje szczególnie słowo „formalny”. Potrzeba chleba, mleka i masła.

— O, to mój mąż się wystara o subwencję — rzuca niedbale prezesowa Gryglewiczowa. — Trzeba tylko o jaką siłę pomocniczą. Trzeba tylko wstawić niewielką sumę do budżetu na wynagrodzenie. Nic trudnego. Subwencja pokryje.

Zapisano do protokołu.

— Chodzi o to — referuje doktorowa — że dzieciom trzeba dostarczyć drugiego śniadania, nie jadają bowiem formalnie nic. — Znowu „formalnie”. — Drugie śniadania w przerwie między godzinami nauki.

Tworecka chichocze. Co znowu?!

— Ależ, panie — ciągle chichocze — na przedmieściu Biedoty nie ma szkoły...

Polackównę aż poderwało. Słyszane to rzeczy? — Nie ma szkoły!

— Stawiam wniosek o wszczęcie pierwszych kroków, celem założenia szkoły, proponuję profesorową Płużakową...

— O, ja nie mam czasu. Wyjeżdżam na wieś. Tak mnie miasto męczy... — aż poruszyła rękami.

(C. d. n.)